



ARTUR GRUSZECKI
**POD CZERWONYM
 WIRCHEM**

23

— Zato pan jesteś nieznośnym, starym kawalerem, — zaśmiała się pani Mniewska.

— W każdym razie bez rogów, — wstał od stołu za przykładem innych.

Pani Wanda, czując niechętny dla siebie nastrój towarzystwa, uważała, że byłoby tryumfem dla tych pań, gdyby cofnęła się do swego pokoju. Dowodziłoby to bowiem, że odczuła ich ukryte pociski. A nie chcąc zostać tylko z panem Borowieckim, zaproponowała Rycie, ażeby się z nią przeszła.

— Jestem zmęczona, — odpowiedziała Ryta dość kwaśno.

— Siadziemy w salonie, to chyba cię nie zmęczy, — uśmiechnęła się pani Wanda przyjaźnie.

— Czy już cię znudził pan Borowiecki? — szły w głąb salonu.

— To nie, ale i dobrego bywa czasem za dużo, — zaśmiała się.

— Jak widzę, lubisz naprawdę zmiany, — usiadły na ustronnej kozetce.

— Więc i ty przeciw mnie! — zawołała półzartem, — naprawdę nie rozumiem, dlaczego te panie, a zwłaszcza pani Porecka, czynią złośliwe aluzje. Zostawiłam im przecież pana Jedlińskiego na własność niepodzielną.

— Może, ale zrobiłaś to po odniesionym tryumfie i on z tej odzyskanej wolności nie kwapi się korzystać.

— To już nie moja wina.

— Nie wiem.

— Jakto, Ryto? — zdziwiła się, — czy nie wiesz, że on dla mnie nieznośny był i jest?

— On jednak skarży się, że ty go łudziłaś, że był zabawką w twych rękach... i że tak samo postępujesz z panem Borowieckim.

— Także coś nowego, — oburzyła się, — pan Jedliński narzucał mi się, prześladował swemi czułościami, był nieznośny i wstrętny.

— No, a pan Borowiecki? — spytała Ryta z pozorną obojętnością.

— Pan Borowiecki jest tylko bratem mej koleżanki i przyjaciółki. Nie narzuca się i nie nudzi mnie wynurzeniami głupimi.

— I dlatego go lubisz?... A może coś więcej? — zarumieniła się wbrew woli, co dostrzegła pani Wanda i rzekła wesoło:

— Tym pannom to zaraz miłość w głowie!... Ach, dzieciaku, ja a miłość! — zaśmiała się, — jestem schorowana, przygnębiona kobieta, mam męża i dziecko i pragnę tylko zdrowia, niczego więcej.

— Ażeby wrócić jak najprędzej do męża, — dodała Ryta z niewinną miną.

— Naturalnie.

— Więc dlaczego pozwalasz na to, ażeby on był zawsze z tobą?

— Czy to moja wina? Ostatecznie, lubię jego towarzystwo... on jeden nie dokucza mi tutaj.

— No, a ja?

— Ach, ty, Ryto, jesteś bardzo miła i dobra, czasem jednak i ty umiesz ukłóć.

— Kiedy? Jak?

Nie było czasu na odpowiedź, gdyż pan Borowiecki, który krążył po salonie, zbliżył się, pytając z uśmiechem:

— Czy to spisek? Może narada nad wycieczką? Wypogodziło się, czy nie przejdą się panie?

— Nie wiem, — bąknęła Ryta, patrząc z pod oka a badawczo na oboje.

— Chodź z nami, Ryto, — zachęcała pani Wanda.

Ryta leciutko przybladła; to słowo: „z nami“ dotknęło ją boleśnie i powiedziała dość ostro:

— Nie! Nie pójdę z wami... Mama mnie potrzebuje.

— Jeśli ty, Ryto, nie pójdziesz, zostanę i ja.

— Niepotrzebnie odmawiasz sobie przyjemności... ja muszę zostać.

Dalsza rozmowa jakoś się nie kleiła, wreszcie Ryta wstała i chciała odejść.

— Zaczekaj, Ryto, pójdziemy razem, — wstała pani Wanda, a idąc z nią, spytała:

— Dlaczego nie chciałaś przejść się?

Ryta z goryczą spojrzała na nią, miała na ustach gotową odpowiedź, że nie nadaje się na „dame de compagnie“, ale wstrzymała się i rzekła spokojnie:

— Wiesz przecież, że mama mnie potrzebuje, a ja należę do obowiązkowych, — podkreśliła ostatnie słowo.

— To prawda, Ryto, i podziwiam cię.

— Za wielkie słowo, — uśmiechnęła się ironicznie i podając rękę: — do widzenia, Wandziu.

Pani Wanda odczuła chłód Ryty i zestawiając ostatnią rozmowę z różnymi drobnymi szczegółami, jak: nagle rumieńce Ryty przy wejściu Borowieckiego, jej twarz rozjaśnioną, połyskliwe oczy i dźwięczny głos, gdy z nim rozmawiała, przyszła do przekonania, że Ryta zajęta jest Borowieckim i zezdrosna o niego. To przeświadczenie zrobiło jej przykrość. Szczerze pożałowała Ryty, którą lubiła i ceniła. I jaka szkoda, że ten Borowiecki nie pokochał Ryty, byłaby może szczęśliwa, ale co ona na to poradzi? Dzisiaj Ryta była już inną i będzie inną. I jaka to przykrość, że właśnie Ryta, która jej zawsze okazywała sympatię, zmieniła się i teraz ubyla jej ta życziwa dusza.

Ujrzała się osamotnioną w otoczeniu nieżyczliwych, a że nie poczuwała się do żadnej winy, opanował ją wielki żal do świata i ludzi. Nikomu nic złego nie zrobiła, rozmyślała, usiadłszy w swym pokoju, nie skrzywdziła nikogo, brzydzę się obmową, plotkami, fałszem, a jednak jestem taka nie lubiana i taka nieszczęśliwa.

Mąż robi mi wieczne wymówki i skarży się na mnie, z krewnymi jestem daleka, a i tu, gdy tylko przyjechałam, otoczyła mnie atmosfera niechęci i niedowierzania.

Z właściwą chorem i nieszczęśliwym zaciętością rozpamiętywała swe życie tutaj i dziwnie jaskrawo uprzytomniały się jej nawet najdrobniejsze ułóżki słowami, spojrzeniami, minami towarzyszywa, w którym przebywała.

Rosła w niej gorycz, widziała siebie ofiarą niesprawiedliwości i prześladowania. Całe życie wydało się jej posępną i męczącą drogą, którą ona idzie samotna i opuszczona. Wspomnienie dziecka tylko ją bardziej rozgoryczało, gdyż z jej to winy przyszło na świat to dziecko, które odziedziczyło jej usposobienie i będzie takie nieszczęśliwe, jak ona.

Tak była przejęta swymi myślami, co na kształt czarnych, groźnych chmur zawisły nad nią, że nie słyszała dyskretnego zapukania do drzwi, które cicho się otworzyły i do pokoju

wszedł pan Borowiecki z przyjaznym uśmiechem:

— Czy nie przeszkadzam?

Dla niej było to tak obojętne, kto wchodzi i kto mówi, że powiedziała odruchowo:

— Nie... proszę.

Jakąś chwilę trwało milczenie, które przerwał Borowiecki, pytając miękko:

— Co pani? Pani taka zmieniona, posępna, czy spotkała panią przykrość?

— Na razie nie, ale dlaczego tak nierównomiernie obdziela los ludzi, jednemu wszystko się wiezie, a za drugim idzie w ślad smutek i żal? — powiedziała sennym głosem.

— Pytanie stare, jak świat, — uśmiechnął się, — a dowodzi tylko osłabienia woli i energii życia.

— Tak pan sądzi, — mówiła, zatopiona jeszcze w swych myślach.

— Gdy wszedłem, pani otuliła się całą smutkiem i przygnębieniem, a oczy przesłoniła pani tak szczelnie, że nie dostrzegają budzącej się radości wiosni, błękitu nieba, wspaniałych wirchów i wieńców ciemnych lasów.

— Nie widzę tego i nie czuję, — powiedziała apatycznie.

— To w zupełnym porządku, ale spróbuj pani otworzyć oczy, otrząśnij się z mgieł smutku i wątplenia, a zniknie zmora ciężkiego snu.

— Gdyby to było tylko snem! — uśmiechnęła się blade.

— Łatwo może się pani przekonać, wystarczy wstać i wyjść z dusznego pokoju na świeże powietrze... Teraz są przepiękne wiosenne zachody... Oplaci się chwilowy przymus.

I jak dobry, troskliwy brat, pomógł jej ubrać się, zamknął pokój i wyszedł w stronę Kuźnic.

Powietrze było przeczyste, przepojone świeżością wiosny, która rozbudziła do życia senne lasy, udzieliła górskim potokom srebrnych dźwięków i harmonijnych poszumów, a wirchy, sięgające błękitu, ustroiła w świetlne aureole. Czuć było, że w promieniach słońca idzie nowe życie, nowa radość, nowy cud odrodzenia, miłości i piękna.

Ten spokój w naturze, te rozświetlone wirchy i lasy podzialały kojąco na rozbudzone nerwy pani Wandy, uciszała się burza wewnętrzna i ona sama bezwiednie dostrzegała się do harmonii przyrody. Gorycz i żal przemieniały się stopniowo na wyrozumiałość, rezygnację i spokój. Szli w milczeniu nad swawolnym, życiem kipiącym potokiem i zrazu obojętnie, a potem z rosnącym zajęciem wsłuchiwała się ona w dźwięczną muzykę rwącej wody, uderzającej swawolnie o skały nadbrzeżne i kamienie w łóżysku, a gdy tej muzyce wody zawtórował szum lasu, rozjaśniła się jej twarz, spojrzała na przepojone blaskami góry i powiedziała uradowanym głosem:

— Jak tu pięknie! Z tych gór olbrzymich płynie ukojenie.

— Dla gór to obojętne, — uśmiechnął się, — czy płynie z nich ukojenie, czy śmierć pod lawiną, urwanym głazem, lub na dnie przepaści.

— A jakiego wrażenia pan doznaje?

— Spokoju i siły. To też, gdy jestem wzburzony, gdy mi zanadto dokuczą drobnostki i poswarki ludzkie, idę w góry i wracam spokojny i zrównoważony.